

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

Z „**PODROŻY SNARKA**”

Jack London

POCZESNE MIEJSCE U STOŁU OBFITOŚCI

Gdy pojawiali się nieznani przybysze, każdy z mężczyzn usiłował pozyskać przyjaźń jednego z nich i zaprowadzić do własnego domu, gdzie okoliczni mieszkańcy traktowali go z największą serdecznością, sadzając na pierwszym miejscu i częstując obficie najlepszym jadłem.

Studium obyczajów w Polinezji

"Snark" stał na kotwicy u brzegu wyspy Raiatea, naprzeciw wioski Uturoa. Zawinęliśmy tam poprzedniego wieczora o zmroku i przygotowywaliśmy się do pierwszej wizyty na lądzie. Wczesnym rankiem dostrzegłem malutką pirogę z przeciwważnicą i zgoła nieprawdopodobnym żaglem rozprzowym, mknącą po powierzchni laguny. Piroga przypominała kształtem trumnę; było to po prostu koryto wyłobione w pniu drzewa, długie na czternaście stóp, o szerokości co najwyżej dwunastu i głębokości mniej więcej dwudziestu czterech cali. Nie było ociosane, tyle tylko że zaostrome na obu końcach. Piroga miała boki prostopadłe. Pozbawiona przeciwważnicy przewróciłaby się w mgnieniu oka. Przeważnicą utrzymywała ją w pozycji pionowej.

Wspomniałem, że żagiel pirogi był zgoła nieprawdopodobny. To nie przesada). Nie należał do zjawisk, które" trzeba zobaczyć, aby w nie uwierzyć; nie można było w to zjawisko uwierzyć, nawet oglądając je na własne oczy. Wysokość żagla i długość bomu były dostatecznie przerażające; jakby nie dość na tym, konstruktor nadał żaglowi niezwykłą szerokość u góry. Górna część żagla była tak wielka, że nawet pod naporem normalnej bryzy złamałaby każde rozprze. Do pirogi przymocowano więc drzewce wystające nad wodą za rufą. Do tego drzewca przywiązany był rodzaj baksztagu. W ten sposób dolny brzeg żagla naciągało się za pomocą szotu, a górny koniec rozprza za pomocą baksztagu.

Nie było to zwykłe czółno ani zwykła piroga, lecz żaglówka. Aby żeglować na niej, trzeba balastować ciężarem ciała i mieć duże doświadczenie. Obserwowałem, jak piroga szła ostro pod wiatr w stronę wsi. Samotny żeglarz siedział na skraju przeciwważnicy, wybierając żagiel lub wypuszczając z niego wiatr przy silniejszych podmuchach.

— Jedno jest pewne — orzekłem. — Nie ruszę się stąd, zanim nie wypróbuję tej pirogi.

Wkrótce potem Warren zawołał z trapu: — Jest tu właśnie piroga, o której mówiłeś.

Wyskoczyłem na pokład i powitałem właściciela łodzi, wysokiego, smukłego Polinezyjczyka, o szczerzej twarzy i jasnych, błyszczących, inteligentnych oczach. Ubrany był w szkarłatną przepaskę biodrową i słomiany kapelusz. W rękach miał podarki. — rybę, sporą wiązkę zielonych jarzyn i kilka olbrzymich bulw *yamu*. Podziękowałem za to wszystkim uśmiechem (w odległych zakątkach Polinezji uśmiech jest nadal cenną monetą obiegową), wielokrotnie powtórzyłem słowo „mauruuru" (co w narzeczu Tahiti znaczy „dziękuję") i za pomocą gestów dałem mu do zrozumienia, że chciałbym przejechać się jego pirogą.

Twarz zajaśniała mu radością i wymówił jedno tylko słowo „Tahaa", odwracając się równocześnie i wskazując wysokie, spowite w chmury szczyty na wyspie odległej o trzy mile, zwanej Tahaa. Dęło w stronę wyspy, więc w powrotnej podróży czekała nas żegluga wprost pod wiatr. Nie zamierzałem płynąć na wyspę Tahaa. Miałem doręczyć listy na Raiatea i odwiedzić paru urzędników, a ponadto Charmian przygotowywała się właśnie w kajucie do wyjścia na ląd. Stanowczymi gestami wytłumaczyłem właścicielowi pirogi, że nie pragnę nic więcej, jak tylko krótkiej przejażdżki po lagunie. Na twarzy jego odmalowało się rozczarowanie, lecz zgodził się z uśmiechem.

— Chodź, popływamy trochę — zawołałem do Charmian — ale włóż kostium kąpielowy, zmokniemy na pewno.

To było nierzeczywiste. Płynęliśmy jak we śnie. Piroga pruća wodę, niczym srebrna strzała. Wylazłem na przeciwważnicę i w ten sposób pomagałem balastować. Tehei zaś pokazywał swe żeglarskie umiejętności. Przy silniejszych podmuchach wiatru on również wysuwał się na przeciwważnicę, równocześnie sterując trzymanym w obu rękach szerokim wiosłem i przytrzymując szot stopą.

— Do zwrotu I — zawołał.

Przesunąłem ostrożnie ciężar ciała bliżej pirogi, by utrzymać równowagę, gdy przy zwrocie ustanie napór wiatru na żagiel.

— Ostro na wiatr! — zawołał skręcając.

Po żerdziach przymocowanych w poprzek pirogi ześliznąłem się na drugą jej stronę i ruszyliśmy z wiatrem w zawody na nowym halsie.

— Dobrze — rzekł Tehei.

Te trzy zdania składały się na jego angielszczyznę i kazały mi przypuszczać, że należał kiedyś do kanackiej załogi, dowodzonej przez amerykańskiego kapitana. W przerwach między porywami wiatru dawałem mu znaki ręką i powtarzałem z pytającą intonacją w głosie słowo „żeglarz”. Następnie spróbowałem dogadać się z nim w okropnej francuszczyźnie, lecz ani słowo *marin*, ani *matelot* nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Albo moja francuszczyzna była zbyt ograniczona, albo on jej nie mógł zrozumieć. Z czasem doszedłem do wniosku, że oba przypuszczenia były słuszne. Wreszcie zacząłem wymieniać nazwy pobliskich wysp. Kiwał głową na znak, że są mu znane, a gdy usłyszał z kolei nazwę Tahiti pojął, o co mi chodzi. Jego procesy myślowe były prawie widoczne i z prawdziwą przyjemnością obserwowałem, jak malują mu się na twarzy. Kiwał energicznie głową; tak, bywał na Tahiti i sam dodał nazwy innych wysp, takich jak Tiki hau, Rangiroa i Fakarava, co dowodziło, iż dotarł aż do Archipelagu Paumotów, niewątpliwie jako członek załogi handlowego szkunera.

Gdy po krótkiej przejażdżce powróciliśmy na pokład jachtu, zapytał na migi, dokąd „Snark” płynie. Wymieniłem wyspy Samoa, Fidzi, Nową Gwineę, a potem Francję, Anglię i Kalifornię, w kolejności ich geograficznego położenia, na co powiedział „Samoa” i wyraził gestami chęć towarzyszenia nam w tej podróży. Z wielkim trudem zacząłem mu tłumaczyć, że nie imamy miejsca na „Snarku”. Słowa *petit bateau* osiągnęły wreszcie pożądany efekt. Pogodził się z odmową, maskując znowu rozczarowanie uśmiechem i zaraz ponowił zaproszenie na wyspę Tahaa.

Charmian i ja spojrzeliśmy po sobie. Oboje byliśmy jeszcze pod urokiem przejażdżki, zapomnieliśmy więc chętnie o listach na Raiatea i wizytach u miejscowych dygnitarzy. Wepchnęliśmy niezwłocznie do blaszanego pudła po sucharach parę spodni, koszulę, obuwie, papierosy, zapalki oraz książkę do czytania, owinęliśmy to wszystko gumową płachtą i wskoczyliśmy do pirogi.

— Kiedy można się was spodziewać z powrotem? — zawołał Warren, podczas gdy wiatr napędniał żagiel, a Tehei i ja czym prędzej sadowiliśmy się na przeciwważnicy.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Wydaje mi się, że wtedy, kiedy wrócimy.

Wyruszyliśmy i po chwili mknęliśmy pełnym wiatrem z poluzowanymi żaglami. Krawędź pirogi górowała nie więcej niż dwa i pół cala nad powierzchnią morza i drobne fale przelewały się ustawicznie do środka. Trzeba było wylewać wodę, co należy do głównych czynności „vahine”. W języku tubylców Tahiti „vahine” oznacza kobietę, a że Charmian była jedyną „vahine” w naszej pirodze, obowiązek ten, zgodnie z ustalonym porządkiem rzeczy, spadł na nią. Tehei i ja nie

możliśmy tego robić, gdyż obaj tkwiliśmy na drągu łączącym przeciwważnicę z pirogą i byliśmy zajęci utrzymywaniem pirogi w pozycji pionowej. Charmian wychlustywała wodę drewnianym czerpakiem prymitywnego wyrobu tak sprawnie, że od czasu do czasu mogła sobie pozwolić na dłuższy odpoczynek.

Raiatea i Tahaa są wyspami jedynymi w swoim rodzaju, leżą bowiem wewnątrz tej samej rafy koralowej. Obie są wulkanicznego pochodzenia i rysują się na horyzoncie zygzakowatą linią wysokich urwisk i turni. Obwód wyspy Raiatea wynosi trzydzieści mil, a Tahaa piętnaście, co daje pojęcie o rozmiarach otaczającej je rafy. Pomiędzy wyspami a rafą ciągnie się szeroki na jedną do dwóch mil pas wody tworzący wspaniałą lagunę. Ogromne fale Pacyfiku, których nieprzerwana długość dochodzi nieraz do półtorej mili, uderzają o rafę, podnosząc się i zwałając na nią ze straszliwym łoskotem, a jednak ta delikatna budowa z koralu wytrzymuje napór oceanu i ochrania ląd. Na zewnątrz rafy zagłada czyha na najpotężniejsze nawet statki, wewnątrz zaś panuje cisza gładkich wód i piroga. taka. jak nasza, wystająca zaledwie parę cali ponad powierzchnię oceanu, może tam pływać swobodnie.

Mknęliśmy po tej wodzie. I co to była za woda! Przejrzysta jak najczystsze źródło, lśniąca krystalicznie i mieniąca się fantastyczną grą barw i smug tęczowych, przy których błędnie każda tęcza. Zielen jaspisu przeplatała się z turkusem, pawi błękit z kolorem szmaragdu. Piroga śmigła to po rudych lub purpurowych, to po roziskrzonych, jaskrawobiałych jeziorach, gdzie na dnie leżał piasek ze startego na proszek koralu, a na nim wylegiwały się monstrualne ślimaki morskie. W jednej chwili znajdowaliśmy się nad cudownymi ogrodami koralowych krzaków, pomiędzy którymi igrały ryby o najróżniejszych barwach, trzepocząc się jak morskie motyle, w następnej pruliśmy ciemną powierzchnię głębokich kanałów i płoszyliśmy srebrzyste chmury latających ryb, po czym płynęliśmy nad innymi znowu ogrodami żyjących koralu, z których jeden piękniejszy był od drugiego. A ponad tym wszystkim rozpościerało się tropikalne niebo pasatów. U jego zenitu ścigały się wełniste obłoczki, których zwały piętrzyły się na horyzoncie.

Ani się obejrzelśmy, a już przybijaliśmy do wyspy Tahaa i Tehei wyraził uśmiechem uznanie dla sprawności, z jaką „vahine” czerpała wodę. Piroga utknęła na piasku w odległości około dwudziestu stóp od brzegu i wyszliśmy na ląd brodząc po miękkim dnie, gdzie pod naszymi nogami wiły się wielkie ślimaki. Gdy się następowało na coś wyjątkowo miękkiego, oznaczało to obecność małej ośmiornicy. Opodal plaży, wśród palm kokosowych i bananowych drzew stał dom naszego gospodarza, wzniesiony na palach, pokryty strzechą z trawy i zbudowany z drzewa bambusowego. Z domu wyszła „vahine” Tehei, drobna kobiecina o łagodnych oczach i rysach mongolskich, a może indiańskich, typu północno-amerykańskiego. Zwała się Bihaura, lecz Tehei wymawiał jej imię nie po angielsku, ale coś jakby „Bi-ah-uu-rah”, podkreślając każdą sylabę.

Wzięła Charmian za rękę i zaprowadzała do domu, Tehei zaspra i ja ruszyliśmy za nimi. Tu gospodarze dali nam do zrozumienia gestami nie budzącymi żadnych wątpliwości, że wszystko, co posiadają, jest nasze. Żaden rycerz nie zdołałby wymowniej wyrazić serdecznej gościnności, a jestem pewny, że niewielu posunęło ją kiedykolwiek tak daleko w praktyce. Odkryliśmy niebawem, że nie wolno nam podziwiać ich dobytku, ledwie bowiem okazywaliśmy zainteresowanie jakimś przedmiotem, natychmiast go nam ofiarowywali. Obie „va-hine”, ulegając instynktom niewieściego rodu, zaczęły oglądać kobiece błyskotki i ozdoby, podczas gdy Tehei i ja, jak na mężczyzn przystało, zajęliśmy się sprzętem służącym do łowienia ryb i polowania. Na dzikie świnię, nie mówiąc już o przyrządzie, za pomocą którego chwyta się ryby bonito długimi na czterdzieści stóp drągami, siedząc w podwójnych pirogach. Charmian podziwiała koszyk z przyborami do szycia, najpiękniejszy z widzianych przez nas na Polinezji okazów sztuki koszykarskiej; otrzymała go na własność. Ja z kolei

zachwyciłem się hakiem do łowienia bonito, wyrzeźbionym z jednego kawałka perłowej muszli; natychmiast zostałem jego właścicielem. Charmian zwróciła uwagę na słomianą plecionkę, ze trzydzieści stóp w jednym zwoju, z której można było zrobić każdy kapelusz; otrzymała cały zwój. Mój wzrok zatrzymał się na tłuczku do „poi”, pochodzącym jeszcze z epoki narzędzi kamiennych; już był mój. Charmian patrzyła o chwilę za długo na drewnianą czarę w kształcie czółna, na czterech nóżkach, wyrzeźbioną w jednym kawałku drzewa; dostała czarę. Rzuciłem ponownie okiem na olbrzymią butlę ze skorupy orzecha kokosowego; już była moja. Wreszcie rozmówiliśmy się z Charmian i postanowiliśmy nic więcej nie podziwiać, nie dlatego, że to się nie opłacało, ale dlatego, że opłacało się zbyt dobrze. Łamaliśmy sobie również głowy nad tym, co z rzeczy na jachcie nadawałoby się na odpowiedni rewanż. Święta Bożego Narodzenia są łatwym problemem w porównaniu z wymianą podarków na Polinezji.

Podczas przygotowywania obiadu siedzieliśmy na chłodnej przyzbie, na najlepszych matach Bihaury i nawiązywaliśmy stosunki z mieszkańcami wioski. Nadchodzili w grupach po parę osób, ściskali nam ręce i mówili „iorana”, co po tahitiańsku oznacza powitanie. Mężczyźni byli wysocy i barczyści, w przepaskach biodrowych, niejedni bez koszuli. Kobiety ubrane z reguły w „ahu”, coś w rodzaju fartucha, opadające we wdzięcznych fałdach z ramion aż do stóp. Niektórzy cierpieli na *elephantiasis*, co było nader przykrym widokiem. Oto zbliżała się przystojna, wspaniale zbudowana kobieta, o postawie królowej, lecz z jedną ręką cztero- albo i dwunastokrotnie grubszą od drugiej. Obok niej wyprostowany mężczyzna, sześć stóp wzrostu, o potężnych mięśniach, ciele barwy brązu, godnym antycznego boga, lecz ze stopami i łydkami tak spuchniętymi, że zlewały się w jedną bezkształtną, potworną masę, przypominającą istotnie nogi słonia.

Przyczyny tej powszechnej na Morzach Południowych choroby są właściwie nieznanne. Według jednej teorii wywołuje ją picie zakażonej wody, według drugiej jest to rezultat ukąszenia przez moskita. Trzecia teoria przypisuje *elephantiasis* predyspozycji spotęgowanej przez aklimatyzację. Ktokolwiek natomiast obawia się zbyt tej i podobnych chorób, nie może sobie pozwolić na podróżowanie po Morzach Południowych. Trudno jest bowiem nigdy nie pić wody lub zabezpieczyć się całkowicie przed ukłuciem moskita. Wszelkie środki ostrożności ze strony przestrzegającego przepisów higieny nie zdadzą się na nic. Jeśli chcąc się wykąpać przebiegnie bosą stopą po plaży, nastąpi na miejsce, którego przed chwilą dotknęła stopa chorego na *elephantiasis*. Może się zamknąć we własnym domu, lecz każdy kęs świeżej stawy na jego stole, mięsa, ryby, drobiu czy jarzyny, mógł ulec zakażeniu. Na rynku w Papeete dwóch znanych trędowatych ma stragany, a Bóg jeden wie, jakimi drogami dostają się codziennie na rynek owoce, mięso, jarzyny i ryby. Można przyjemnie podróżować po Morzach Południowych tylko dzięki lekkomyślnej beztrosce i wierze — na wzór wyznawców Christian Science — w swoją szczęśliwą gwiazdę. Gdy widzisz, jak kobieta chora na *elephantiasis* wyciska gołymi rękami sok z orzecha kokosowego, pij śmiało i ciesz się znakomitym napojem, a nie myśl o rękach, którym go zawdzięczasz. Pamiętaj również, że choroby takie jak trąd i *elephantiasis* nie są jakoby zaraźliwe przez dotyk.

Patrzyliśmy, jak kobieta z wyspy Raratonga, o spuchniętych, zniekształconych rękach, przygotowuje dla nas mleko kokosowe, po czym poszliśmy do szałas, gdzie Tehei i Bihaura zajęci byli przyrządzaniem obiadu. Do posiłku zasiedliśmy w domu, przy skrzynce od konserw. Kiedy zjedliśmy, gospodarze rozłożyli swój stół na podłodze. Ale nasz obiad! Znajdowaliśmy się niewątpliwie w krainie wszelkiej obfitości. Na pierwsze danie wyborna surowa ryba złowiona w morzu parę godzin przedtem i zanurzona na te parę godzin w soku karłowatych cytryn, rozcieńczonym wodą. Następnie pieczone kurczę. Dwa orzechy kokosowe dostarczyły ostrego, słodkawego napoju. Potem rozplływające się, w ustach banany o smaku truskawek i przecier bananowy, po którym można

jedynie ubolewać, że nasi amerykańscy przodkowie wymyślili wszelkie puddingi. Dalej gotowane bulwy *yamu*, gotowane taro i pieczone „fei”, duże, soczyste, czerwone banany podawane na gorąco. Podziwialiśmy wystawność tej uczy, lecz nie zdążyliśmy ochłonąć z wrażenia, a już przyniesiono całe prosię owinięte w zielone liście i upieczone na gorących kamieniach, najbardziej wyszukaną i najznamienitszą potrawę polinezyjskiej kuchni. Na zakończenie podano kawę, czarną, doskonałą kawę ze wzgórz wyspy Tahaa.

Fascynował mnie sprzęt rybacki gospodarza, więc po przyjęciu propozycji wspólnego połowu zdecydowaliśmy z Charmian pozostać na noc. Tehei znowu wspomniął o Samoa i znowu słowa *petit bateau* przywołały na jego twarz zatuszowane uśmiechem rozczarowanie. Bora Bora była następnym celem naszej podróży. Nie było to daleko, a że pomiędzy Bora Bora a Raiatea stale kursowały kutry, zaprosiłem Tehei, aby zabrał się na naszym jachcie na Bora Bora. Dowiedziałem się wtedy, że jego żona pochodzi stamtąd i posiada tam jeszcze dom.

Zaprosiłem ją więc również, na co zareagowała natychmiast zaproszeniem nas do swego domu na Bora Bora. Był poniedziałek. Postanowiliśmy wybrać się na połów ryb we wtorek i tegoż dnia powrócić na Raiatea. We środę mieliśmy płynąć opodal wyspy Tahaa i w umówionym miejscu, położonym o milę od ich domu, zabrać Tehei i Bihaurę na pokład i wyruszyć na Bora Bora. Omówiliśmy to wszystko szczegółowo, gawędząc przy tym na mnóstwo innych tematów, choć Tehei znał trzy zdania po angielsku, Charmian i ja umieliśmy co najwyżej kilkanaście słów w języku Tahiti, a wszyscy czworo, rozumieliśmy może tuzin tych samych słów francuskich. Oczywiście taka wielojęzyczna rozmowa nie toczyła się wartko, ale za pomocą notesu, ołówka, wyrysowanego przez Charmian cyferblatu zegara i tysiąca i jeden gestów daliśmy sobie doskonale radę.

Zaledwie ujawniliśmy chęć odpoczynku, odwiedzający nas tubylcy zaczęli cicho mówić „iorana” i znikli. Znikli również Tehei i Bihaura. Dom składał się z jednej wielkiej izby i został oddany do naszej wyłącznej dyspozycji. Gospodarze poszli spać gdzie indziej. Ich siedziba była naprawdę nasza. Bywałem podejmowany przez przedstawicieli najrozmaitszych ras, w najróżniejszych miejscach i zakątkach świata, ale pragnę stwierdzić, że żadna gościnność nie dorównywała tej, jaką nam okazała brązowoskóra para na wyspie Tahaa. Nie mam na myśli podarunków, hojności czy wystawności ich przyjęcia, lecz szlachetny rodzaj kurtuazji, taktu i serdeczności oraz sympatię prawdziwą, bo wypływającą ze zrozumienia. Nie czynili nic, co według ich pojęć zrobić należało, lecz to, czego ich zdaniem moglibyśmy zapragnąć, a życzenia nasze odgadywali ze zdumiewającą trafnością. Niesposób wyliczyć tych setek drobnych aktów uprzejmości z ich strony w ciągu paru dni naszego pobytu u nich. Ograniczę się więc do stwierdzenia, że nigdy okazana mi gościnność nie przewyższyła, a nawet nie dorównywała tej, jakiej u nich zaznaliśmy. Najmilsze może było to, że nie wypływała z wychowania czy jakiegoś skomplikowanego społecznego ideału, lecz była naturalnym i spontanicznym odruchem ich serc.

Następnego ranka Tehei, Charmian i ja wybraliśmy się na ryby w podobnej do trumny pirodze. Ogromny jej żagiel pozostawiliśmy jednak tym razem na lądzie. W małym czółnie było za ciasno na to, by żeglować i jednocześnie łowić ryby. O kilka mil od wyspy, wewnątrz rafy koralowej, na głębokości około dwudziestu sążni Tehei zarzucił haki zaopatrzone w przynętę i kamienne ciężarki. Jako przynęty używał kawałków ciała odrywanych z żywej ośmiornicy wijącej się na dnie pirogi. Zarzucił dziewięć linek. Przywiązał każdą do końca krótkiego bambusowego kołka pływającego na powierzchni. Gdy tylko ryba połknęła haczyk, ten koniec kołka zniknął pod wodą, drugi zaś wznosił się do góry i gwałtownymi ruchami wzywał nas do pośpiechu. Kierowaliśmy się czym prędzej w jego stronę, wrzeszcząc i machając wiosłami, i tak krążyliśmy od jednego sygnalizującego zdobycza bambusa do drugiego i wyciągaliśmy z głębiny wspaniałe, lśniące ryby długie na dwie albo i trzy

stopy.

Ze wschodu zbliżał się powoli, ale uparcie groźny szkwał i przesłaniał ciemną smugą jasnoblękitny, charakterystyczny dla pory pasatów horyzont. Znajdowaliśmy się na zawietrznej o trzy mile od lądu. Ruszyliśmy z powrotem, kiedy pierwsze podmuchy wiatru zaczęły gnać białe grzywy po wodzie. Po chwili lunął deszcz, jaki lunąć może tylko w klimacie tropikalnym, gdzie każdy kran i upust otwiera się szeroko, a jakby nie dość na tym, zbiornik niebieski przelewa się oślepiającym potokiem. Charmian miała na sobie jedynie kostium kąpielowy, ja pidżamę, a Tehei przepaskę biodrową. Bihaura czekała na plaży i zaprowadziła Charmian do domu, jak matka niesforną dziewczynkę, która bawiła się w kałuży.

Nałożyliśmy suchą odzież i rozkoszowaliśmy się dymem tytoniowym, podczas gdy przygotowywano *kai-kai*. W języku Polinezji słowo to oznacza „żywność” albo „jeść”, a właściwie pochodzi od jakiegoś rdzenia wspólnego na całym obszarze Pacyfiku. Na Markizach, Raratonga, Manaŭki, Niue, Fakaafo, Tonga, w Nowej Zelandii i Vate mówią „kai”. Na Tahiti „jeść” zmienia się w „amu”, a na Wyspach Hawajskich i Samoa w „ai”; na wyspie Bau w „kana”, na wyspie Niua w „kaina”, na wyspie Nongone w „kaka”, a w Nowej Kaledonii w „ki”. Bez względu jednak na jego brzmienie słowo to mile dźwięczało w naszych uszach po długim wiosłowaniu na ulewnym deszczu. Zasiadliśmy ponownie do obficie zastawionego stołu, aż przyszło nam żałować, że nie zostaliśmy stworzeni na obraz żyraf lub wielbłądów.

Zamierzaliśmy właśnie powrócić na „Snarka”, gdy niebo na nawietrznej szerniało ponownie i nadleciał następny szkwał. Tym razem nie deszcz, lecz wiatr wziął górę. Szalał przez parę godzin, świszcząc i wyjąc wśród palm, wstrząsając i szarpiąc lekką bambusową chatą, podczas gdy po zewnętrznej stronie rafy, opierającej się natarciu rozhuśtanych fal, rozlegał się potężny grzmot oceanu. Wewnątrz rafy powierzchnia laguny, choć osłonięta, bielila się od piany i nawet kunszt żeglarski Tehei nie utrzymałby ani przez chwilę jego smukłej pirogi w takim kłębowisku.

O zachodzie słońca nastąpiło przesilenie, lecz morze było nadal zbyt wzburzone, by można było wypłynąć pirogą. Na moją więc prośbę Tehei wyszukał tubylca, który za niesłychaną cenę dwóch chilijskich dolarów, co wynosi dziewięćdziesiąt centów w naszej monecie, zgodził się przewieźć nas kutrem na Raiatea. Połowa mieszkańców wioski zbiegła się, by odnieść dary ofiarowane nam przez Tehei i jego żonę: żywe kurczęta, ryby oczyszczone i owinięte w świeże liście, ogromne wiązki złotych bananów, plecione z listowia koszyki pełne pomarańcz, karłowatych cytryn i polinezyjskich gruszek, wielkie kosze bulw yamu, wiązki taro i orzechów kokosowych oraz gałęzie i pnie drzew na opał.

Po drodze spotkaliśmy jedyne białego człowieka na wyspie Tahaa, George'a Lufkina, Amerykanina z Nowej Anglii. Miał osiemdziesiąt sześć lat, z czego około sześćdziesięciu, jak powiadał, spędził na Wyspach Towarzyskich, z wyjątkiem okresu, w którym uległ gorączce złota i wyruszył do Eldorado w roku 1849, oraz krótkiego pobytu na własnej ranczy w Kalifornii, koło Tulare. Gdy doktorzy orzekli, że pozostaje mu najwyżej trzy miesiące życia, powrócił na Morza Południowe, dożył osiemdziesięciu sześciu lat i śmiał się z lekarzy, którzy wszyscy byli już w grobie. Przed ćwierć wiekiem zaraził się „fi-fi”, co w języku tubylców oznacza *elephantiasis*. Wiedział, że tej choroby nie pozbędzie się aż do śmierci. Zapytaliśmy go o rodzinę. Obok niego siedziała rześka sześćdziesięcioletnia dama, jego córka.

— Poza nią nie mam nikogo — odpowiedział żałośnie — a żadne z jej dzieci nie żyje.

Kuter był mały, ozagłowany jako słup, ale obok pirogi Tehei wydawał się pokaźnym statkiem. Gdy jednak wypłynęliśmy na lagunę i uderzył w nas znowu silny szkwał, zmalął w naszych oczach do lilipucich rozmiarów, „Snark” natomiast zdawał się zapewniać stałość i niewzruszalność kontynentu.

Tubylczą załogę stanowili wytrawni żeglarze, a towarzysząca nam wraz z mężem Bihaura znalazła się również na żeglarstwie. Kuter był dobrze obciążony balastem i przyjęliśmy szkwał pod pełnymi żaglami. Zapadał mrok, w lagunie roiło się od koralowych skał, płynęliśmy jednak dalej. W okresie największego natężenia szkwału musieliśmy zrobić zwrot i popłynąć nowym halsem pod wiatr, aby ominąć skały leżące nie głębiej niż na stopę pod powierzchnią wody. Nie chwyciliśmy jeszcze wiatru w żagle po zwrocie i kuter nie nabrał szybkości, gdy wiatr przechylił go na płask. Załoga puściła luzem szoty przedniego oraz głównego żagla i kuter wyprostował i wyostrzył. Trzykrotnie przechylał nas wiatr i trzykrotnie powtórzyliśmy ten manewr, zanim pożeglowaliśmy nowym halsem.

Następną zmianę halsu zrobiliśmy już w ciemnościach. Znajdowaliśmy się na nawietrznej stronie „Snarka”, a szkwał był w najlepsze. Zwinęliśmy przedni żagiel i zarefowaliśmy główny pozostawiając go tyle mniej więcej, ile wynosi powierzchnia poszewki. Tylko dzięki przypadkowi nie zawadziliśmy o jacht, który chociaż sztormował na dwóch kotwicach, został zniesiony na mieliznę u koralowego brzegu. Za pomocą spuszczonej na wodę motorówki przerzuciliśmy najdłuższą z posiadanych lin na „Snarka” i po godzinie ciężkiej pracy zawróciliśmy kuter i umocowaliśmy go bezpiecznie za rufą jachtu.

W dniu kiedy wyruszaliśmy na Bora Bora, wiatr był słaby, aby więc przepłynąć przez lagunę do miejsca, gdzie mieli nas spotkać Tehei i Bihaura, posłużyliśmy się silnikiem. Płynąc między wałami koralowymi do lądu, na próżno wypatrywaliśmy na brzegu naszych przyjaciół. Nie było ich ani śladu.

— Nie możemy czekać — powiedziałem — z tą bryzą nie dopłyniemy na Bora Bora przed wieczorem, a nie chcę spalać więcej gazoliny, niż to konieczne.

Paliwo do silnika jest nie lada problemem na Morzach Południowych, nigdy bowiem nie wiadomo, kiedy będzie można znowu napełnić zbiorniki.

Jednakże właśnie w tej chwili spośród drzew wybiegł Tehei. Zdjął koszulę i machał nią gwałtownie. Najwidoczniej Bihaura nie była jeszcze gotowa do podróży. Znalazłszy się na pokładzie Tehei wytłumaczył nam na migi, że mamy płynąć wzdłuż brzegu do miejsca położonego naprzeciwko jego domu. Stał sam za kołem sterowym i przeprowadził „Snarka” aż za ostatni cypel raf koralowych. Na plaży zabrzmiały powitalne okrzyki i Bihaura w towarzystwie sąsiadów z wioski wyruszyła ku nam na czele dwóch czółen załadowanych żywnością. Były tam bulwy yamu, taro, banany, owoce chlebowego i granatowego drzewa, orzechy kokosowe, pomarańcze, karłowate cytryny, ananasy, kawony, polinezyjskie gruszki, ryby, kilkanaście piejących kogutów oraz kur gdczących i składających jajka na naszym pokładzie, tudzież żywy prosiak, którego donośny i nieustanny kwik zdradzał przecucie bliskiego zetknięcia się z nożem.

W świetle wschodzącego księżyca przebrnęliśmy szczęśliwie przez niebezpieczną rafę otaczającą wyspę Bora Bora i zarzuciliśmy kotwicę przy wiosce Vaitape. Bihaurze, jako zamiłowanej gospodyni, pilno było do domu, gdzie miała przygotować dla nas następny festyn. Podczas gdy motorówka z nią i jej mężem zbliżała się do małego pomostu, odgłosy muzyki i śpiewu dobiegły nas przez gładką taflę laguny.

Wszędzie na archipelagu Wysp Towarzyskich powtarzano zgodnie, że mieszkańcy Bora Bora prowadzą niezwykle wesoły tryb życia. Chcąc się o tym przekonać Charmian i ja udaliśmy się na ląd i na murawie, w środku wioski, opodal zapomnianych grobów na plaży, zastaliśmy gromadę chłopców i dziewcząt tańczących ochoczo, przystrojonych w kwiaty i uwite z kwiatów girlandy. We włosach mieli zatknięte dziwne, fosforyzujące kwiaty, mieniące się i połyskujące w blasku księżyca. Nieco dalej, idąc wzdłuż plaży, natrafiliśmy na uplecioną z trawy ogromną chatę, owalnego kształtu, długą na siedemdziesiąt stóp, w której starszyzna wioski siedziała i śpiewała rodzime pieśni „himine”. Wszystkim humor dopisywał, przystrojeni byli w girlandy i przyjęli nas serdecznie, jak

powracające do owczarni zabłąkane w ciemnej nocy jagnięta.

Nazajutrz wczesnym rankiem Tehei przybył na pokład, wręczył nam sznur świeżo złowionych ryb i zaprosił na wieczór na obiad. W drodze na obiad zaszliśmy do chaty, gdzie śpiewano „himine”. Śpiewali ci sami starsi tubylcy, a wśród nich zauważyliśmy tu i ówdzie chłopca czy dziewczynę, których nie widzieliśmy poprzedniej nocy. Wszystko wskazywało na to, że czeka nas wielkie przyjęcie. Na podłodze wznosił się olbrzymi stos owoców i jarzyn, obłożony dokoła kurczętami spętanymi kokosowym włóknem. Po odśpiewaniu kilku „himine” jeden z mężczyzn powstał i wygłosił do nas mowę, z której nie zrozumieliśmy wprawdzie ani słowa, wywnioskowaliśmy jednak, że mówca w jakiś sposób kojarzy nas z górą jadła.

— Nie zamierzają chyba nam tego wszystkiego podarować? — szepnęła Charmian.

— Oczywiście że nie — mruknąłem w odpowiedzi. — Dlaczego mieliby nas tak obdarzyć? Zresztą nie mamy tyle miejsca na jachcie. Nie moglibyśmy zjeść ani dziesiątej części. Reszta musiałaby się zmarnować. Może zapraszają nas na ucztę. W każdym razie niemożliwe, aby nam to wszystko oddali.

Jednakże raz jeszcze znaleźliśmy się w siedzibie obfitości. Mówca, czyniąc najzupełniej oczywiste gesty, ofiarował nam kolejno wszystko, co stos zawierał, a następnie ofiarował go nam w całości. Nastąpiła kłopotliwa chwila. Co byście powiedzieli, gdybyście zamieszkując ciasną izdebkę otrzymali w przyjacielskim prezencie białego słonia? Na jachcie nigdy nie było przestronnie, a na Tahaa załadowaliśmy go do ostatecznych granic żywnością. Dalszych zapasów nie zdołalibyśmy pomieścić. Rumieniliśmy się, jękaliśmy, powtarzaliśmy w kółko „mauruuru”, starając się wyrazić ogrom naszej wdzięczności. Równocześnie jednak odmówiliśmy, wyłącznie gestami, przyjęcia podarków, popełniając w ten sposób okropny grzech przeciwko etykietce. Rozczarowanie zebranych było aż nazbyt widoczne i tego wieczora, przy pomocy Tehei, zawarliśmy kompromis: przyjęliśmy jedną kurę, jedną wiązkę bananów i po jednym okazy ze wszystkiego, co złożono na stosie.

Nie mogliśmy się jednak wykręcić od dalszych objawów szczodrej gościnności. Kupiłem tuzin kurcząt od tubylca zamieszkałego nieco dalej w głębi wyspy, a następnego dnia dostarczył mi trzynaście oraz pełną pirogę owoców. Francuski sklepikarz ofiarował nam kosz granatów i pożyczył swego najlepszego konia. Miejscowy żandarm poszedł w jego ślady i pożyczył nam konia, o którego dbał jak o źrenicę oka. Wszyscy zaś przysyłali kwiaty. „Snark” przypominał stragan owocowo-warzywny, zamieniony na prowizoryczną cieplarnię. Chodziliśmy stale uwieńczeni girlandami z kwiatów. Gdy grono wioskowych śpiewaków przybyło na pokład, by uraczyć nas „himine”, dziewczęta całowały nas na powitanie i cała załoga jachtu, od kapitana do chłopca okrętowego, uległa czarowi lokalnych piękności. Tehei zorganizował na naszą cześć wielką wyprawę na ryby, na którą udaliśmy się w podwójnej pirodze poruszanej wiosłami przez kilkanaście rosnących amazońskich dziewcząt. Szczęśliwym trafem nie złowiliśmy ani jednej ryby, inaczej bowiem „Snark” zatonąłby na swych cumach.

Czas płynął, a okazywana nam hojność nie ustawała. W dniu odjazdu pirogi przybijały do naszej burty jedna za drugą. Tehei przywiózł ogórki i młode drzewko *papaia* obładowane owocami. Mnie ofiarował, malutką podwójną pirogę wyposażoną w kompletny sprzęt rybacki. Ponadto złożył na pokładzie nie mniejszą niż podczas naszego pobytu na wyspie Tahaa ilość owoców i jarzyn. Bihaurą wręczyła Charmiah różne kobiece upominki, jak jedwabne poduszki, wachlarze i różnobarwne dzierzgane maty. Cała miejscowa ludność dostarczyła owoców, kwiatów i kurcząt. Bihaura dodała żywego prosiaka. Tubylcy, których, zdaje mi się, nigdy przedtem nie widziałem, przelazili przez reling i ofiarowywali mi wędziska, linki i haczyki wykonane z muszli perłowej.

Wyplłynęliśmy poza rafę koralową. „Snark” holował kuter, na którym Bihaura miała powrócić do

siebie. Tehei natomiast został z nami, gdyż ulegając jego prośbom zaliczyłem go do załogi. Kiedy kuter, zwolniony z holu, skierował się na wschód, „Snark” zaś na zachód, Tehei ukląkł na pokładzie. Modlił się cicho, a łzy ciekły mu obficie po policzkach. W tydzień później Martin wywołał i odbił niektóre klisze i pokazał mu fotografie. Na widok sylwetki ukochanej małżonki brązowskóry syn Polinezji rozpląkał się rzewnymi łzami.

Ach, ta obfitość. Pełno jej było wszędzie. Owoce uniemożliwiały nam normalne czynności żeglarskie. Cały jacht był nimi obwieszony. Stosy owoców wyglądały z łodzi ratunkowej i motorówki, liny napinające płócienny dach nad pokładem jęczały pod ich ciężarem. Z chwilą jednak gdy znaleźliśmy się na pełnym morzu, w zasięgu pasatów, rozpoczęło się odciążanie jachtu. Przy każdym przechyle „Snark” pozbywał się paru wiązek bananów, orzechów kokosowych lub koszyka karłowatych cytryn. Złota ich powódź zalewała odpływniki pokładu. Popękały wielkie kosze pełne *yamu*, ananasy i granaty toczyły się tam i z powrotem. Kurczęta wyzwoliły się z pęt i zaglądały wszędzie, wysiadywały na linach, trzepotały skrzydłami, gdakały na bomach i dokonały niebezpiecznego czynu siadając na spinakera. Były to ptaki dzikie, przyzwyczajone do fruwania, toteż gdy próbowaliśmy je chwytać, wzbijały się w powietrze, krążyły czas jakiś nad oceanem i wracały. Niekiedy nie wracały w ogóle. A w całym tym rozgardiaszu prosiak pozostawiony sam sobie wy dostał się na wolność i ześliznął się z pokładu do morza.

Przygotowano na podstawie bookini.pl